

Krzysztof Kawalec

SPORY O KSZTAŁT USTROJU
II RZECZYPOSPOLITEJ

Pierwsza wojna światowa zakończyła się bezprecedensowym triumfem krajów demokracji liberalnej nad dawnym porządkiem. Upadły konserwatywne monarchie, dominujące w Europie Środkowo-Wschodniej przez cały wiek XIX. Co prawda o ostatecznym rezultacie konfrontacji militarnej zdecydowały zasoby materialne bogatych państw państw zachodnich: koalicji brytyjsko-francuskiej, zasilonej w 1917 r. przez Stany Zjednoczone, ale równocześnie zależał on od nastrojów społecznych. To dlatego w opinii współczesnych wynik wojny oznaczał zwycięstwo demokracji nad autokracją; rządów ludu nad panowaniem się autorytetu. Pozornie kruchy, uzależniony od kaprysu wyborców, system polityczny, okazał swą stabilność i siłę. W obliczu ogniowej próby ogół obywateli zdobył się na poczucie odpowiedzialności i na bezprzykładną cierpliwość w znoszeniu cierpień oraz trudności spowodowanych wojną.

Inaczej działało się w krajach, gdzie władza dystansowała się od poddanych: w cesarskich Niemczech oraz Austro-Węgrzech, wcześniej zaś w Rosji. Kiedy ludzie poczuli swą siłę, wystąpili z siłą burzącego wszystko żywiołu. Ale nawet tam zaznaczył się łagodzący wpływ instytucji demokracji przedstawicielskiej. Radykalizacja nastrojów wpłynęła na preferencje wyborcze, które z reguły przesunęły się znacznie na lewo, ale nigdzie

– nawet w Rosji – na tyle, by w sposób decydujący przybliżyć perspektywę rewolucji proletariackiej. W przeprowadzonych bezpośrednio po przewrocie bolszewickim wyborach do Zgromadzenia Konstytucyjnego zwycięzcy otrzymali zaledwie jedną czwartą głosów – co przesądziło o rychłym rozwiązaniu rosyjskiej Konstytuanty.

Przeciwstawność tendencji demokratycznej z jednej, rewolucyjnej zaś z drugiej strony zaznaczyła się i na polskim gruncie. Wynik przeprowadzonych w styczniu 1919 r. wyborów do Sejmu Ustawodawczego pokazał, że ujawniające się z wielką siłą nastroje radykalne nie są podzielane przez większość społeczeństwa, pragnącego przede wszystkim stabilizacji. Drugim czynnikiem, który silnie wpłynął na wynik wyborczy, było ożywienie postaw narodowych. Trudno powiedzieć, w jakiej mierze sytuacja ta była widoczna od początku. Stosunek do wyborów podzielił lewicę. Ta jej część, która opowiadała się za rewolucją w majestacie prawa, poddała się regułom wyborczej konfrontacji, później zaś wzięła aktywny udział w budowie państwa. Pozostali, od grudnia 1918 r. zorganizowani w Komunistycznej Partii Robotniczej Polski, podjęli nieudaną próbę zbojkotowania wyborów. Agresywna, często obrażająca uczucia narodowe agitacja (jej próbką może być hasło „precz z białą gęsią”) z pewnością miała swój udział w ostatecznej porażce; właściwą jej przyczyną było wszakże to, że większość spośród tłumnie głosujących dążyła po prostu do czegoś innego niż powielenie wzorca radzieckiego. Niefortunna decyzja zaowocowała marginalizacją ruchu komunistycznego, pogłębioną wraz z jego faktyczną delegalizacją, w kwietniu 1919 r.

W literaturze historycznej przywykło się akcentować różnice poglądów na zagadnienie ustrojowe, dzielących reprezentowane w sejmie ugrupowania polityczne. Uzasadnieniem było to, co dzisiaj się nazywa obrazem medialnym wydarzenia. Debacie

konstytucyjnej towarzyszyły wystąpienia poza sejmem: manifestacje, strajki oraz inne akcje protestacyjne, organizowane w czytelnej intencji wpłynięcia na rezultat obrad. Spierano się o wzajemne relacje najwyższych władz państwowych, kompetencje oraz sposób obioru głowy państwa, uprawnienia posłów oraz organizację parlamentu (jedno- czy dwuizbowy), wreszcie zakres i charakter ingerencji państwa w życie społeczne. Jak ujął to historyk myśli politycznej, Michał Śliwa, spierano się „m.in. o to, czy konstytucja usankcjonuje liberalny model państwa w jego dziewiętnastowiecznym wydaniu, czy też przyjmie rozwiązania prawne, umożliwiające np. ingerencję państwa w stosunki własnościowe”. Spór dzielący stanowiska zwolenników demokracji liberalnej i demokracji społecznej był ważny; ale nie miał charakteru tak zasadniczego, jak przepaść pomiędzy dążeniami tych, którzy pragnęli wprowadzenia systemu politycznego opartego na przyzwoleniu rządzonych, oraz tych, którzy chcieli oprzeć jego stabilność na terrorze i przymusie. Ci ostatni nie byli jednak reprezentowani w sejmie – spośród zaś obecnych w nim środowisk żadne nie brało pod uwagę ustroju zasadniczo odmiennego od tego, co uważano za normę dla krajów zachodnich.

Ilustracją zbieżności poglądów były projekty konstytucji, składane od lutego 1919 r. Wszystkie zakładały republikańską formę państwa, prawie wszystkie też – poza projektem wysuniętym przez konserwatywny Klub Pracy Konstytucyjnej – postulowały wprowadzenie systemu rządów parlamentarnych. Wolności polityczne postrzegano jako ściśle związane z niepodległością. Rozumiano, że władza własna to nie tylko taka, która odwołuje się do symboliki narodowej, ale również taka, którą można sobie wybrać, a w razie potrzeby zmienić.

Aprobata dla modelu państwa, w którym elita rządząca opiera swoje uprawnienia na przyzwoleniu rządzonych, realizo-

wanym za pośrednictwem kartki wyborczej, przybierała różne formy, wyrażające się w różnej retoryce. Lewica niepodległościowa, dla której miarodajne były poglądy rozwijane w obrębie Polskiej Partii Socjalistycznej, ostentacyjnie podkreślała swoje przywiązanie do demokracji jako formy rządów w najpełniejszym stopniu sprzyjającej realizacji ideałów postępu. Z kolei politycy prawicowi, związani z Narodową Demokracją, chętnie akcentowali konieczność potwierdzenia przynależności Polski do zachodniego kręgu cywilizacyjnego – grupującego społeczeństwa wolne, a zarazem zdyscyplinowane. W obu wypadkach wskazywano na państwa zachodnie jako pozytywny wzorzec. Krajem, który podziwiano szczególnie, była Wielka Brytania; wszakże brytyjskie instytucje polityczne z różnych powodów nie nadawały się do skopiowania. W Polsce jednak odmienna była tradycja prawna, inne struktury społeczne, a przede wszystkim system partyjny. Partii było o wiele więcej; silnie zaznaczały się antagonizmy środowiskowe i regionalne. Zaadaptowanie w polskich warunkach systemu wzorowanego na brytyjskim groziłoby niepożądanymi skutkami. Przykładowo, przy istniejącym rozdrobnieniu partyjnym, wprowadzenie większościowego systemu wyborczego wzorowanego na brytyjskim pociągnęłoby za sobą niewielką reprezentatywność parlamentu: w wyniku łatwego do przewidzenia rozdzielenia się głosów wyborców większość z nich zostałaby zmarnowana, bez szans na otrzymanie mandatu. Innym niebezpieczeństwem takiej sytuacji byłaby możliwość konserwowania lokalnych układów i kultywowania na tym tle separatyzmów.

Z tych powodów bardziej przydatny wydawał się wzorzec ustrojowy francuski. Poprzez wierne odwzorowanie w parlamencie nastrojów wyborców – co oznaczało przeniesienie tam mozaiki zwalczających się stronnictw – uniemożliwiał wytworzenie się tam stałej większości. Kilkadziesiąt zmian gabinetów we Francji przed 1914 r. mogło stanowić ostrzeżenie. Był to jednak ustrój

dostosowany do systemu wielu partii, zaakceptowany przez liczące się państwo, które wyszło zwycięsko z Wielkiej Wojny – co mogło uchylać, przynajmniej początkowo, wątpliwości co do walorów jego instytucji politycznych. Dodatkowym argumentem na ich rzecz mogło być i to, że pochodziły z kraju uważanego za szczególnie bliski Polsce.

Rodzime doświadczenia ustrojowe nie bardzo wchodziły w grę. Te dawniejsze, sprzed 1795 r., były zbyt odległe, najnowsze zaś, związane z funkcjonowaniem tymczasowego modelu rządów, określonego Małą Konstytucją, nie przedstawiały się zachęcająco. Silna władza Naczelnika Państwa oraz jednoizbowego parlamentu paraliżowały się nawzajem. W spektakularnej formie zaznaczyło się to zresztą już po uchwaleniu konstytucji marcowej, w początkach lata 1922 r., gdy spór głowy państwa oraz sejmowej większości o prawo powołania gabinetu doprowadził do klasycznego pata, trwającego ponad miesiąc.

Ostatecznie zatem punktem odniesienia dla diskutowanych rozwiązań ustrojowych stała się konstytucja Republiki Francuskiej z 1875 r. Dodać warto, że także w tej materii Polska nie stanowiła wyjątku – na konstytucji francuskiej wzorowana była także ustawa zasadnicza Republiki Czechosłowackiej.

Sygnalizowano, że temperatura obrad podczas debaty konstytucyjnej była wysoka. Chociaż to nie stosunek do kwestii prawnych decydował o podziałach sceny politycznej, miały one znaczenie jako argument propagandowy i instrument działania stosowany doraźnie do mobilizowania opinii publicznej. W dalszej perspektywie liczyły się jako czynnik wpływający na ustalenie reguł, które miały obowiązywać przy wyłanianiu władzy: to był także powód, dla którego stanowiska poszczególnych stronnictw były jedynie pozornie sztywne. To, co w propagandzie przedstawiano jako wyraz zasadniczej koncepcji ustrojowej, w praktyce okazywało się mniej ważne od rachub na wymanewrowanie przeciwnika.

Wystąpiło to wyraźnie przede wszystkim w sporze o kompetencje głowy państwa. Prawica przeszła tu do porządku dziennego nad swoim stanowiskiem w kwestii silnej władzy wykonawczej: w przekonaniu, że prezydentem zostanie Piłsudski, zdecydowała się drastycznie okroić kompetencje tego urzędu. Stanowisko to często bywa komentowane jako modelowy przykład poświęcenia zasad programowych na ołtarzu korzyści doraźnych. Tak też niewątpliwie było. Postawy, które dzisiaj nazywa się partyjniactwem (a wówczas „partyjnictwem”) sąsiadowały z całym racjonalnymi obawami przed możliwością nadużycia przez Piłsudskiego władzy. Charakterystyczne, że lewica nie czyniła inaczej. Lustrzanym odbiciem kalkulacji prawicy było stanowisko Polskiej Partii Socjalistycznej i Polskiego Stronnictwa Ludowego „Wyzwolenie”, konsekwentnie angażujących się w poparcie poczynań Piłsudskiego – bez względu na to, co czynił, i czy dawało się to pogodzić z procedurami prawnymi. Jakkolwiek zasadniczo lewica opowiadała się raczej za ścisłą kontrolą poczynań władzy wykonawczej przez organa państwowe pochodzące z wyboru niż za daniem im swobody działania – to w czasie debaty konstytucyjnej zajęła stanowisko przeciwne, opowiadając się za rozbudową uprawnień głowy państwa. Traktowano tu bowiem problem nie abstrakcyjnie, ale bardzo konkretnie i – podobnie jak na prawicy – myślano o Piłsudskim. Jeśli zatem w wystąpieniach publicznych prawica ostantacyjnie opowiadała się za silną władzą wykonawczą, lewica zaś za rozszerzeniem sfery swobód obywatelskich, to kiedy w grę wchodziło określenie stanowiska wobec realnie wyłonionego silnego przywództwa, strony zamieniały się rolami.

Analogicznie przedstawiał się spektakularny spór o drugą izbę parlamentu. Prawica, podkreślając konieczność zabezpieczenia państwa przed inflacją aktów ustawodawczych i angażując się w związku z tym z wielką siłą w obronę senatu, nie czyniła tego bynajmniej od początku debaty konstytucyjnej, a poza tym – sądząc

z opinii wypowiedzianych przed wiele postaci, i to znaczących – jej stanowisko w tej materii wcale nie było jednolite. Dlatego też opowiedzenie się prawicy za dwuizbowością parlamentu było nie tyle refleksem zasadniczej koncepcji ustrojowej, ile przejawem dążeń do zrównoważenia skutków radykalizmu niższej izby parlamentu, którego się obawiano. Wyrażając się obrazowo, konserwatywny senat miał ingerować w wypadku, gdyby sejm uchwalił coś niemądrego. Z kolei lewica, pryncypialnie opowiadająca się za jednoizbowością parlamentu, była przeciwna senatowi, ale... równocześnie domagała się powołania tzw. Izby Pracy – *de facto* też swego rodzaju drugiej izby parlamentu, tyle że stanowiącej przeciwwagę dla sejmu, gdyby miał on okazać się prawicowy...

Tego rodzaju konfrontacyjna logika rzutowała na stanowisko rywalizujących środowisk politycznych także w kwestiach mniejszej wagi. Ogólnie rzecz biorąc, skutkiem działań obliczonych na zabezpieczenie się przed poczynaniami przeciwnika, podejmowanych przez wszystkie znaczące środowiska polityczne, było doprowadzenie do sytuacji, w której stan równowagi – by nie powiedzieć pata – pomiędzy rywalizującymi środowiskami doczekał się swoistego odbicia w zapisach ustawy zasadniczej, określających relacje najwyższych władz państwowych. Zgodny z demokratycznymi standardami stan ich równowagi stwarzał możliwości wzajemnego paraliżowania się. W teorii, wobec przewagi pochodzącego z demokratycznych wyborów sejmu, wyposażonego w rozbudowane uprawnienia, sytuacja taka nie powinna mieć miejsca. Ale tylko w teorii. Jakkolwiek wejście w życie konstytucji – po wyborach przeprowadzonych jesienią 1922 r. – otworzyło w dziejach odrodzonego państwa okres zwany „sejmowładztwem”, to ukute w walce politycznej, obraźliwe określenie miało niewiele wspólnego z rzeczywistością. Sejm był bowiem jedynie pozornie silny – w rzeczywistości będąc zdolny do efektywnego sprawowania władzy jedynie w takim stopniu,

w jakim był w stanie wytworzyć operatywną i zdolną do działania większość. To zaś okazało się zupełnie niemożliwe w istniejącym układzie sił w społeczeństwie oraz przy ordynacji wyborczej, która za sprawą nieznacznie jedynie skorygowanej zasady proporcjonalności odzwierciedlała go wiernie na forum sejmu.

Ów stan pata okazał się trwały. Jeśli porównać rezultat wyborów zarówno do Sejmu Ustawodawczego z 1919 r., jak i późniejszych, przeprowadzonych w 1922 r. – dotyczy to zresztą także wyborów z 1928 r. – to uderza charakterystyczna zbieżność. Wybory nie wyłaniały zdecydowanego zwycięzcy, później zaś, w toku pracy parlamentu, rozdrobnienie sejmu raczej powiększało się, niż malało. Jak to często w parlamencie bywa, posłowie przechodzili wprawdzie z jednego klubu do drugiego – ruchy te jednak nie przyczyniały się do zbudowania stałej większości. Tendencje do tworzenia koalicji zaznaczały się słabiej niż ruchy odśrodkowe.

Dobrze ilustrują to koleje losu tzw. Chjeno-Piasta – centroprawicowej koalicji, utworzonej wiosną 1923 r. Utworzony przez nią gabinet przetrwał zaledwie pół roku, a co gorsza nie okazał się zdolny do prowadzenia spójnej polityki gospodarczej. Przesądziło to jego losy w obliczu licznych trudności, także zewnętrznych, oraz nacisku opozycji. Upadek rządu zadecydował o losach koalicji, cały czas niemogącej uzgodnić stanowiska w sprawie reformy rolnej, dodatkowo zaś, niejako przy okazji, ilustrując największą słabość polskiego modelu demokracji parlamentarnej: trudności tworzenia gabinetów koalicyjnych. Co gorsza, po upadku rządu możliwości ponowienia podobnej próby wydatnie zmalały. Przede wszystkim przy istniejącym w sejmie układzie sił nie była możliwa inna koalicja większościowa. Rozłam zaś, do którego doszło w obrębie wspierającej gabinet Chjeno-Piasta partii chłopskiej, okazał się trwały i utraconej jedności nie udało się w niej przywrócić – to zaś oznaczało znikome prawdopodobień-

stwo powtórzenia próby. Najgorsze jednak, że jej podjęcie podsycało społeczne antagonizmy na skalę niebezpieczną dla systemu jako całości: upadek rządu poprzedziły krwawe starcia na ulicach Krakowa, podjęta zaś trzy lata później próba stworzenia gabinetu opartego na podobnej koalicji zakończyła się jego obaleniem w wyniku zbrojnego zamachu stanu.

Sytuacja ta, jak w soczewce, ilustrowała i niestabilność sytuacji politycznej, i główne niebezpieczeństwa grożące systemowi demokracji liberalnej w Polsce. Przy niskiej kulturze prawnej silnie zaznaczała się skłonność do posługiwania się siłą – bądź groźbą jej użyciem – i to był problem największy. Jego skalę powiększały trudności w funkcjonowaniu elementów konstytuujących porządek prawny. Sygnalizowano trudności związane z rosnącą atomizacją sejmu i – co było konsekwencją – z powiększaniem się trudności w tworzeniu koalicji. Dodać trzeba, że system wyborczy nie stwarzał silniejszej motywacji dla łączenia się w większe struktury. Ugrupowania, które otrzymały najwięcej głosów, mogły co prawda liczyć na dodatkowe mandaty z tzw. listy państwowej – mandatów tych nie było jednak wiele, za sprawą oporu mniejszych partii, które bały się majoryzacji i aby jej przeciwdziałać, potrafiły zdobyć się na solidarne i skuteczne działanie.

W sytuacji, gdy utworzenie rządu opartego na stabilnej większości było niemożliwe, a prawdopodobieństwo utworzenia koalicji większościowej wielu partii nie przedstawiało się wiele lepiej, regułą stały się różne formy gabinetów mniejszościowych bądź pozaparlamentarnych, popieranym bądź przynajmniej – w imię „konieczności państwowych” – tolerowanym przez często odległe od siebie kluby polityczne. Jakkolwiek dostrzeganie tego rodzaju konieczności dobrze świadczy o poczuciu odpowiedzialności ówczesnych elit, a i dorobek rządów działających w trudnym położeniu, gdy się go ocenia z pewnej perspektywy, może budzić

podziw, taka sytuacja ani nie sprzyjała sprawnemu funkcjonowaniu państwa, ani nie gruntowała zaufania do ustroju konstytucyjnego. W rezultacie prestiż parlamentu, początkowo bardzo wysoki, rychło zaczął maleć. Rosła natomiast irytacja opinii publicznej, która postrzegała te rozgrywki jako stratę czasu, zajęcie jałowe, niepozwalające na konstruktywną pracę. Tego rodzaju wątpliwości w znacznej mierze były skutkiem niskiej kultury politycznej: spory bowiem są częścią debaty publicznej i powodowane przez nie koszty społeczne są mniejsze niż koszty decyzji nietrafionych lub nieskorygowanych w porę. Co mogło jednak irytować, to styl prowadzenia owej debaty, język propagandy, brutalność ataków personalnych, a także niedostrzeganie konieczności utrzymania działań w granicach prawa.

Uzasadnione były również obawy związane ze zbyt częstymi zmianami dokonującymi się na szczycie. Oceniana przez przyzmat doświadczeń z państwami zaborczymi II Rzeczpospolita sprawiała wrażenie bytu prowizorycznego. Między jesienią 1922 a majem 1926 r. rządy zmieniły się pięć razy, jeśli zaś liczyć od listopada 1918 r., należałoby liczbę tę potroić. Jeszcze częstsza była rotacja na stanowiskach ministerialnych oraz w wyższej administracji. I jeśli trudno mieć większe zastrzeżenia co do trafności decyzji podejmowanych przez kolejne gabinety, to w znacznej mierze dlatego, że krótki czas funkcjonowania modelu wprowadzonego przez konstytucję 1921 r. nie pozwolił w pełni ujawnić się wszystkim niebezpieczeństwom, jakie pociągała za sobą nadmierna płynność władzy wykonawczej. W warunkach stałej presji, związanej z groźbą utraty zaufania posłów, relatywnie łatwiej było podejmować decyzje związane z bieżącym zarządzaniem państwem, trudniej natomiast te o znaczeniu długofalowym i większej wadze, zwłaszcza w sytuacji, gdy w grę wchodziły działania o charakterze niejako wyprzedzającym, a nie związane z reagowaniem na pojawiające się problemy. W innej

sytuacji niż stan wyższej konieczności trudno było zdobyć w parlamencie aprobatę dla rozwiązań naruszających interesy którejs z bardziej wpływowych grup i bez ryzyka popełnienia większego błędu można przyjąć, że gdyby demokratyczny eksperyment nie został tak szybko przerwany, to tego rodzaju trudności nasilałyby się w miarę upływu czasu.

Prawidłowość tę ilustrowały już losy reformy walutowej, zrealizowanej wprawdzie w końcu, ale relatywnie późno – w momencie, gdy rozmiary inflacji wymknęły się spod kontroli. Dopiero panika spowodowana widmem katastrofy finansowej wymusiła zgodę na zmianę systemu podatkowego w taki sposób, by wykluczyć łatanie budżetu drukiem pieniędzy. Trudniejszy okazał się problem ustroju najwyższych władz wojskowych. Przygotowywana ustawa, która zastąpić miała sprzeczny z konstytucją dekret Piłsudskiego, wydany w 1921 r., nie została uchwalona przed majem 1926 r. – choć w sejmie niezbyt silny, obóz Piłsudskiego był w stanie skutecznie ją blokować. Najlepszą wszakże ilustracją owego parlamentarnego pata była niemożność korekty ustroju – której nie można było przecież przeprowadzić tak, by nikt na niej nic nie stracił. Było to o tyle ważne, że właśnie prawo wyborcze wyznaczało rzeczywisty punkt ciężkości systemu politycznego, a po wyborach 1922 r. stało się jasne, że bez zmiany reguł liczenia głosów układ sił w kraju nie daje szans na wyłonienie stabilnej większości. Ograniczenie mozaiki sejmowej mogło się dokonać albo przez odejście od proporcjonalności, albo poprzez jej wydatne ograniczenie – na przykład za pomocą preferencji dla ugrupowań, które w wyborach zdobędą najwięcej głosów.

Perspektywa tego rodzaju rozwiązania, forsowanego przez prawicę, budziła wszakże protesty słabszych ugrupowań, obawiających się majoryzacji. Także mniejszości narodowe były jej wrogiem. W rezultacie, w atmosferze silnych walk partyjnych oraz narastającej wzajemnej nieufności, nie było realne ani przekonanie

większości sejmu do tego rodzaju rozwiązań, ani mechaniczne przegłosowanie oponentów – co prawda działających w rozproszeniu, ale w tym wypadku zgodnie. W ten sposób została zablokowana możliwość korekty systemu politycznego w drodze prawnej.

Prawdopodobieństwo utrwalenia się sytuacji patowej w sejmie dodatkowo zwiększało istnienie w nim – używając politycznego żargonu – „martwego pola”. Trudno było wyobrazić sobie parlament bez reprezentacji mniejszości narodowych, będących obywatelami Rzeczypospolitej i mających pełne prawo wyboru swoich przedstawicieli. W dobie rozwoju nacjonalizmów oznaczało to jednak obecność w sejmie polityków reprezentujących opozycję nie wobec poszczególnych rządów, ale wobec całego państwa, postrzeganego jako instytucja obca (gdyż polska) i wroga. Pod tym względem, przy absencji komunistów i szczątkowej reprezentacji mniejszości, Sejm Ustawodawczy miał wyjątkowy komfort pracy. Było do przewidzenia, że to się już nie powtórzy. Obawa przed konsekwencjami wejścia mniejszości do sejmu w znacznej mierze przyczyniła się do odwlekania wejścia w życie uchwalonej w 1921 r. konstytucji – obawiano się bowiem wyniku wyborów, które trzeba było przeprowadzić. Gdy w końcu doszły one do skutku, odbyły się w atmosferze narodowej polaryzacji, podgrzewanej przez ogłoszenie przez Ukraińców bojkotu głosowania. Mimo że bojkot miał charakter powszechny, odsetek mniejszości w sejmie przekroczył 20 proc.

Wbrew pozorom polskie elity były dość jednolite w ocenie tego problemu. Jakkolwiek retorykę endecji z jednej strony, z drugiej zaś socjalistów oraz orientującej się na Piłsudskiego liberalnej inteligencji dzieliła przepaść, i jedni, i drudzy zdawali sobie sprawę z niemożności traktowania reprezentacji mniejszości po prostu jak jednego z partnerów w parlamentarnej grze. Istotna różnica polegała na tym, że lewica uważała współpracę

z reprezentantami mniejszości za pożądaną i możliwą – ale dopiero w przyszłości, gdy przekonają się do polskiego państwa i wybędą nacjonalizmu. Nie ukrywano, że perspektywa ta jest odległa. Sceptycyzm prawicy przejawiał się nie tylko w deklaracjach, ale i spekulacjach na temat zmian w prawie wyborczym, które ograniczyłyby reprezentację mniejszości w sejmie. Rzecz w tym, że ponad jej siły okazało się wypracowanie rozwiązań możliwych do przyjęcia choćby tylko w obrębie własnego obozu politycznego. Preferencje dla wielkich stronnictw, stosowane także tam, gdzie ludność polska stanowiła mniejszość (przede wszystkim na wschodnich Kresach), potencjalnie groziły tym, że nie będzie ona w stanie wybrać swojej reprezentacji; inne zaś rozwiązania, sprowadzające się do projektów zmiany prawa wyborczego jedynie w okręgach o większości polskiej, przy pozostawieniu proporcjonalności na Kresach – były po prostu karkołomne. Wątpliwe było, czy dałyby się pogodzić z międzynarodowymi zobowiązaniami państwa polskiego, nadto – naruszało jeden z ważniejszych elementów właściwej prawicy wizji państwa, to jest jego unitarną strukturę.

Brak realnych perspektyw zmiany prawa wyborczego w sytuacji politycznego pata przyczyniał się do erozji autorytetu sejmu, gruntując przekonanie, że na drodze prawnej nie da się nic zmienić. Torowało to drogę myśli o użyciu siły.

W takiej sytuacji krąg krytyków ustawy zasadniczej szybko się poszerzał. Początkowo – poza okazującymi otwarcie wrogość komunistami – nie był on szeroki. Relatywnie szybko obiekcje ujawniły się w obrębie elitarnych środowisk, które, chociaż wpływowe i dysponujące możliwościami oddziaływania na opinię, były zepchnięte na margines przez system oparty na głosowaniu powszechnym. Odnosiło się to przede wszystkim do konserwatystów, ale w pewnej mierze rozciągało się także na środowiska radykalnej inteligencji. Poczucie wyobcowania sprzy-

jało narastaniu krytycyzmu stosunku nie tylko do polskiej mutacji demokracji liberalnej, ale także kwestionowania całej filozofii politycznej, na której opierały się ustroje demokratyczne – także w krajach zachodnich, wcześniej traktowanych jako wzorce do naśladowania. Decydujące jednak znaczenie miało pojawienie się tego rodzaju wątpliwości w obrębie środowisk, które wcześniej zdecydowały o jego wprowadzeniu w życie.

Dotyczyło to w szczególności endecji, stanowiącej trzon szerszego obozu centroprawicowego, na lewicy zaś Polskiej Partii Socjalistycznej oraz PSL „Wyzwolenie”. Sygnalizowano już dwuznaczności stanowiska, jakie zaznaczyły się w trakcie debaty konstytucyjnej. W krótkim wszakże czasie dwuznaczności owe ustąpiły pola przejawom dystansowania się wobec systemu politycznego, zaznaczanymi coraz silniej, chociaż w różnych formach. Na prawicy wyrażało się to przede wszystkim w formie publicystycznych pochwał poczynań Mussoliniego. Bez względu na to, że enuncjacje prasowe nie zapowiadały działań inspirowanych przez wzorec włoski ani nie wyrażały stanowiska kierownictwa Związku Ludowo-Narodowego – trudno przecenić ich destrukcyjne znaczenie. Przede wszystkim źle służyły politycznej edukacji społeczeństwa, a ponadto nie sprzyjały gruntownemu zaufaniu do poczynań najliczniejszego w sejmie klubu parlamentarnego – Klubu Narodowego. Tym samym w jakimś stopniu przyczyniały się do destabilizowania sytuacji.

Te same uwagi odnieść można do tendencji, jakie zaznaczyły się na lewicy. Dotyczy to przede wszystkim zaznaczających się w różnej formie przejawów dystansu wobec demokracji liberalnej. Jeśli zestawić stanowisko PPS z socjaldemokracjami zachodnimi, to swój dystans wobec instytucji dyktatury jako środka instrumentu przyśpieszającego przemiany socjalistyczne zaznaczała zdecydowanie słabiej. Można dyskutować, jaką wymowę miała demonstracja PPS i PSL „Wyzwolenie” 17 marca

1921 r., kiedy obie partie lewicy zdecydowały się głosować przeciw przyjęciu ustawy zasadniczej. Nawet jeśli uznać, że nie był to wyraz zasadniczego stanowiska, ale przejaw gry politycznej – to czy takie demonstracje są bez znaczenia? Dotyczy to także ostentacyjnie uprawianego kultu Piłsudskiego – w coraz większym zakresie kierującego się przeciw sejmowi i reprezentowanym w nim stronnictwom.

Zjawisko to było przejawem szerszej prawidłowości także o tyle, że ilustrowało jeszcze jedną słabość rodzimej mutacji systemu parlamentarnego: trudność wyłonienia wyrazistych przywódców politycznych. Jakkolwiek na czele rywalizujących środowisk znalazły się postacie o wielkim autorytecie i zdolnościach, uformowały się one w toku działalności spiskowej i z trudnością jedynie adaptowały się do reguł demokracji liberalnej. W równej mierze dotyczyło to Piłsudskiego, jak i Dmowskiego. Jakkolwiek w różnym czasie i w wyniku różnych okoliczności, obaj w pewnym momencie znaleźli się na bocznym torze, bez większych szans na powrót do dawnej roli. O ile jednak Dmowski, osiadając w Chłudowie pod Poznaniem, swój dystans wobec krytycznie przez siebie ocenianego systemu wyrażał w sposób niejako bierny, o tyle Piłsudski przeciwnie – z pasją go atakował, w miarę upływu czasu skupiając wokół siebie szybko powiększające się grupy niezadowolonych. Sprzyjało mu i pojawienie się nastrojów rozczarowania własną państwowością – nieuchronne w obliczu nazbyt idealistycznego jej pojmowania, jak i oczekiwań, że wszystko załatwi. Bieda sprzyjała animowaniu napięć na tle społecznym, a także irytacji z powodu sejmowych rozgrywek, postrzeganych jako bezproduktywne marnowanie czasu. Prasa podsyciała tego rodzaju nastroje, bombardując czytelników rewelacjami o kolejnych aferach – oględnie się wyrażając, dalekimi od ścisłości. Tutaj trzeba zastrzec, że jakiegokolwiek analogie z czasami współczesnymi są zupełnie nieuzasadnione z uwagi na znikomą wręcz skalę tam-

tych „przekrętów”. Bez względu jednak na „twarde” realia, przekonanie o wszechobecności korupcji istniało, rzutując na stosunek do posłów oraz parlamentu. Niezwykle skutecznie odwoływał się do niego Piłsudski i jego zwolennicy. Zamiast szukać odpowiedzi na pytania, co zmienić w systemie prawnym i jak osiągnąć w tym celu większość głosów, wskazywał, że wystarczy odsunąć od władzy ludzi niegodziwych: nie tylko sprzedajnych, ale także mających krew na rękach. Prócz prasowych rewelacji o kolejnych zmianach rządu, kłótniach w parlamencie, gospodarczych aferach, uzasadnieniem dla takiego stanowiska mogło być także to, że rodzimy – wprowadzony postanowieniami konstytucji marcowej – model demokracji politycznej zadebiutował w sposób najgorszy z możliwych: głębokim kryzysem politycznym, uwieńczonym śmiercią pierwszego prezydenta.

Jeśli przyjąć, że istotą demokracji jest przestrzeganie reguł przez uczestników politycznej gry, przede wszystkim poruszanie się w granicach prawa, to w atmosferze narastającej wrogości i pogłębiającej się na tym tle polaryzacji politycznej staje się to wątpliwe. Rozbuchane emocje torują drogę przemocy – to, jaki program ustrojowy formułują wówczas poszczególni politycy, jest rzecz jasna ważne, ale dopiero wtedy, gdy emocje te opadną. Uwaga ta nie dotyczy Piłsudskiego, który w pełni panował nad sobą. Działał na zimno. Kiedy się analizuje jego poczynania przynajmniej od lata 1922 r., to widać, że dążył do celów, które nie były możliwe do zrealizowania w warunkach konstytucyjnego porządku. Nie tylko takiego, jaki zafundowaliśmy sobie w 1921 r., ale także tworzącego ramy prawne krajów wyznaczających cywilizacyjną czołówkę. Wyrażając tę myśl w sposób bardziej kurtuazyjny, stosownie do rangi postaci, można powiedzieć, że jej indywidualność dalece wykraczała poza ramy systemu prawnego, niezależnie od tego, jak byłyby rozległe i ile swobody pozostawiały.

Swego rodzaju paradoksem było, że Piłsudski, dążąc do pełni władzy, oparł się na środowiskach, które – w obliczu dwuznacznej postawy prawicy, ujawniającej sympatie dla faszyzmu włoskiego – w realiach połowy lat 20. w sposób najbardziej ostentacyjny i w większości wypadków szczerze opowiadały się za demokracją. Tyle, że w odróżnieniu od niego, za sprawą resentymentów z przeszłości, a także zacierzwienia, czasowo utraciły one zdolność oceny sytuacji. Tak często były na alarm, przestrzegając przed zagrożeniem dla demokratycznych zdobyczy, zawartym a to w planach redukcji pensji urzędniczych, forsowanych przez endecka, ministra skarbu, a to w klerykalizacji szkoły, forsowanej przez innego endecka, odpowiadającego za poczynania resortu oświaty (wedle przedwojennej nomenklatury Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego); a to w tekstach publicystycznych różnych dziennikarzy zachwycających się poczynaniami Mussoliniego – że kiedy na ulicach pojawiło się wojsko, odczuły ulgę. Nie dostrzegły problemu w tym, że gabinet, który im nie odpowiadał, został obalony siłą. Lektura komentarzy prasowych, proklamujących erę „demokracji wojskowej”, przede wszystkim zaś na różne sposoby uzasadniających tezę, że w imię demokracji należy ograniczyć swobodę działań nie-demokratów, wskazuje, jak szeroki zasięg w gronie obrońców wolności miała wówczas choroba przedkładania „słuszności” nad procedurami prawnymi. Prawica przerobiła tę lekcję wcześniej, w grudniu 1922 r., dla lewicy były nią właśnie wydarzenia maja–czerwca 1926 r. Otrzeźwienie przyszło później, gdy otaczany sentymentem i kultem dawny przywódca zwrócił się przeciw swoim dotychczasowym sprzymierzeńcom. Mogli się jedynie pocieszać, że przewrót majowy uprzędził zamach przygotowywany przez prawicę. Nie było to prawdą, co nie zaszkodziło trwałości legendy. Jej echa odzywają się do dziś – bez względu na to, że nie ma ona żadnego uzasadnienia w stanie wiedzy o tej coraz lepiej znanej epoce.

Maj 1926 r., a przede wszystkim jego konsekwencje, w sposób decydujący określiły kierunek toczącej się debaty ustrojowej. Jest bowiem tak, że najważniejszym punktem odniesienia są w tym wypadku ramy systemu władzy. Decydują o postrzeganiu problemów, określają hierarchię potrzeb, a także tworzą określone nawyki działania, przekładające się na doświadczenia postaci oraz środowisk. W tym względzie skutki „maja” były trudne do przecenienia, bez względu na to, że nie wszystkie ujawniły się od razu. Bezpośrednio po przewrocie silne były złudzenia, że sytuacja wróci do normy, w tym sensie, że Piłsudski zadowoli się kontrolą nad wojskiem, sejm zaś odzyska znaczenie, jakie miał przed przewrotem. Miarą w dezorientacji, jak i rachub na możliwości wyzyskania chwilowego – jak sądzono – uchylenia pata, blokującego wcześniej możliwości korekt ustrojowych, były składane bezpośrednio po przewrocie przez poszczególne środowiska polityczne projekty reformy ustroju. Ogólnie rzecz biorąc, sprowadzały się one wszystkie do zaledwie kosmetycznych zmian systemu politycznego. W przypadku prawicy na uwagę zasługują dwa elementy: po pierwsze to, że każde z działających dotąd w obrębie bloku centroprawicowego środowisk zdecydowało się wystąpić z osobnym projektem (co sygnalizowało pogłębianie się atomizacji politycznej poprzez rozpad bloku centroprawicowego), po wtóre zaś, że wszystkie projekty zakładały wzmocnienie władzy wykonawczej kosztem parlamentu. Bez względu na to, że nawiązywały one do propozycji wysuwanych przed przewrotem, w zmienionej sytuacji politycznej ich sens był problematyczny. Na ich obronę powiedzieć można tylko tyle, że pośrednio dowodziły faktycznego przywiązania do zasad, na których opierał się system demokracji parlamentarnej. Stronnictwa prawicowe nie mogły przecież nie dostrzegać, że przewrót kierował się przeciw nim, jak i tego, że proponując wzmocnienie władzy wykonawczej, dostarczają broni przeciw

sobie. Jeśli idzie o propozycje wzmocnienia władzy wykonawczej, to szły one dalej niż sugestie obozu rządzącego, przyjęte wbrew stanowisku stronnictw lewicy w sierpniu 1926 r. – co niekiedy, także w literaturze naukowej, przedstawiane bywa jako wyraz umiaru Piłsudskiego i jego otoczenia. Pogląd ten opiera się jednak na takim samym nieporozumieniu, jak rachuby tych wszystkich, którzy liczyli na powrót rządów parlamentarnych i pragnęli co najwyżej skorygować system. Istotą zmian, jakie zaszły po maju, nie była bowiem ewolucja prawa, ale praktyki rządzenia. Do połowy lat 30., formalnie rzecz biorąc, obowiązywała kosmetycznie jedynie zmieniona dawna konstytucja. Tyle tylko, że – inaczej niż przed przewrotem – to nie jej postanowienia określały reguły przetarasowań na szczytach władzy.

Decydował Piłsudski, który tolerował postanowienia ustawy zasadniczej w takiej mierze, w jakiej nie stwarzały przeszkód jego woli, w innym zaś wypadku omijał je – niekiedy w formie swoiście finezyjnej, naginając prawo; innym razem przez jego ignorowanie (na przykład przez przeforsowanie dekretu prasowego, ustanawiającego cenzurę, mimo wyraźnego w tym względzie zakazu zawartego w ustawie zasadniczej). Gdy to nie wystarczało, sięgał do brutalnego języka („konstytuta–prostytuta”), w niedwuznacznej intencji onieśmienia oponentów i przypomnienia im, kto tu rządzi. Gdy i to nie pomagało, sięgał po represje. Spektakularny charakter miała tzw. sprawa brzeska, później zaś haniebna decyzja o powołaniu „miejsca odosobnienia” w Berezie Kartuskiej.

Rosnący nacisk aparatu władzy na życie społeczne sprawiał, że możliwości protestu były ograniczone. Istotą dyktatury jest zresztą to, że opiera się na sile, a nie na prawie. Prawo – zmienione i przykrawane do jej potrzeb, może być jej narzędziem, ale nie ogranicza swobody jej ruchów. W razie potrzeby, władza przechodzi nad nim do porządku dziennego. Tak działo się w latach

1926–1935 z dawną konstytucją. Niewątpliwie nie odpowiadała ona zmienionej sytuacji, ale... także kolejnej, przeforsowanej w latach 1934–1935 ustawy zasadniczej, nie przestrzegano wtedy, gdy stwarzałoby to dla grupy rządzącej problemy.

Faktyczna zmiana systemu rządów przesądziła o tym, że przestała istnieć prawna możliwość obalenia ekipy rządzącej. Po 1926 r. wybory do sejmu odbyły się jeszcze cztery razy, z tego dwa razy, w latach 1928 i 1930, wedle niezmienionej ordynacji wyborczej. Rosnąca ingerencja władz administracyjnych w ich przebieg pozbawiały złudzeń, że za pomocą kartki wyborczej uda się zmienić ten stan rzeczy. Istnym festiwalem nacisków oraz fałszerstw były wybory do samorządów w latach 1932–1933. Później zaś, w wyniku zmiany ordynacji wyborczej, stronnictwa opozycyjne utraciły możliwość samodzielnego zgłaszania kandydatów – co w naturalny sposób przesądzało o wyniku wyborów w latach 1935 i 1938. Gdy do wyborczej próby sił startuje jeden tylko obóz polityczny, wynik łatwo przewidzieć...

Trudno przecenić destrukcyjny wpływ tej sytuacji na kształt toczącej się publicznej debaty. Zaznaczał się on na wielu płaszczyznach. Przede wszystkim oddziaływał przykład politycznego sukcesu w postaci trwałego przejęcia władzy oraz możliwości jej sprawowania z pominięciem mechanizmów społecznej oraz prawnej kontroli. Innym skutkiem przewrotu było zwiększenie się dystansu między poszczególnymi środowiskami politycznymi. I przed majem 1926 r. nie był on mały – później wszakże doszły resentymenty „kombatanckie”, w miarę zaś upływu czasu coraz silniej zaznaczały się skutki trwałego odsunięcia od władzy. Zmalało znaczenie odpowiedzialności za słowo, co wpłynęło na mechanizmy selekcji działaczy: ludzie doświadczeni i rozsądni zaczęli ustępować miejsca nawiedzonym, co najmniej zaś dużo młodszym od siebie. Proces ten zaznaczył się we wszystkich środowiskach politycznych, przyjmując różne

formy i zaznaczając się w różnym nasileniu, ale skala zbieżności była zastanawiająca. Po pierwsze, wzrosła rola młodzieży, uzyskującej możliwości samodzielnego działania w obrębie poszczególnych nurtów (Ruch Młodych Obozu Wielkiej Polski, ruch młodowiejski, Akcja Socjalistyczna), po wtóre, pojawiły się symptomy militaryzacji struktur politycznych (odznaki, mundury organizacyjne, przemarsze, musztra, odprawy zamiast zebrań), po trzecie wreszcie, regułą było przenoszenie punktu ciężkości działań politycznych w teren, poza obręb sejmu. Proces ten po części wiązał się z dokonującą się wymianą pokoleń, decydującym wszakże czynnikiem była zmiana warunków działania, coraz silniej zaznaczający się nacisk aparatu administracyjnego, erozja znaczenia parlamentu. Mimo swoich ułomności pozostawał on instytucją, która uczyła wypracowywania kompromisu. W nowej sytuacji, gdy stronnictwa stanęły przed koniecznością walki o przetrwanie – umiejętności te przestawały jednak być ważne. Liczyło się utrzymanie ściślejszych więzi z elektoratem politycznym, to zaś wymagało demonstrowania sztywności zasad i jednoznaczności haseł. W sytuacji, gdy całe doświadczenie parlamentarzystów stawało się mało przydatne, ich czas mijał. Mogli się tylko łudzić – do czasu – perspektywą powrotu parlamentarnych reguł gry.

Spośród działaczy starszego pokolenia w nowych warunkach lepiej czuli się – i sprawdzali – ci, którzy wcześniej nie zdążyli żyć się z demokracją parlamentarną. Przewrót legitymizował ich wątpliwości wobec walorów ustroju opartego na kartce wyborczej. A także uwiarygodnił ich argumenty. Dowodzenie, że w polityce rządzi siła, brzmiało mimo wszystko abstrakcyjnie, jak długo odwoływało się do faktów znanych jedynie z gazet. Tak było – wyłączając grono osób, które przyżyły to na własnej skórze – z rewolucją rosyjską, później z „marszem na Rzym” Mussoliniego. Natomiast skutki zmian systemu władzy w Polsce

w taki czy inny sposób odczuli wszyscy – oceniali go różnie, widzieli wszakże, kto wygrał i czemu zawdzięczał sukces. A później oddziaływanie tej sugestii zostało wzmocnione przez ciąg zbieżnych w swojej wymowie zjawisk, jakie dokonywały się dookoła. W rezultacie fali zamachów stanu w ciągu dosłownie kilku lat państwa, w których źródłem władzy przestała być wola rządzących, wyrażana za pośrednictwem procedur prawnych, stały się nieliczne: nie tylko we wschodniej Europie, także na Zachodzie stan posiadania demokracji liberalnej stopniał, a ogólne wrażenie dekadencji pogłębiała dodatkowo pacyfistyczna retoryka. W takim samym stopniu, co polityczne instrumenty demokracji liberalnej, wątpliwe zaczęły się wydawać – w wyniku kataklizmu Wielkiego Kryzysu – nawet jego instrumenty ekonomiczne, dotąd niekwestionowane.

Wszystko to składało się na spektakularną zmianę klimatu politycznego. Jej wpływ na stanowisko poszczególnych środowisk politycznych w kwestiach ustrojowych wyrażał się w coraz dalej idącym kwestionowaniu założeń, uważanych za oczywiste podczas debaty konstytucyjnej zaledwie kilkanaście lat wcześniej. Niekiedy nawiązywano do koncepcji formułowanych wcześniej przez konserwatystów – dotyczyło to przede wszystkim różnych pomysłów związanych z osłabieniem pozycji sejmu poprzez spętanie jego swobody w dziedzinie ustawodawczej i kontrolnej: poprzez rozbudowę uprawnień ciał badających zgodność ustaw z obowiązującym prawem (przede wszystkim senatu), a także poprzez ograniczenie możliwości ingerencji w pracę władzy wykonawczej. W tym ostatnim punkcie spotykały się stanowiska prawicy (tej konserwatywnej) oraz tej części lewicy, która orientowała się na Piłsudskiego.

Dotyczy to także zainteresowania perspektywą zwiększenia uprawnień głowy państwa. Dysponując atutem w postaci wyrazistego, cieszącego się powszechnym szacunkiem przywódcy,

obóz rządzący domagał się, aby głowa państwa była wyłaniana w wyborach powszechnych. W początkach lat 30. zmienił tu jednak zdanie – być może zdając sobie sprawę, że stan zdrowia Piłsudskiego szybko się pogarsza. Równie prawdopodobna była wszakże inna przyczyna: koncepcje ustrojowe nie powstają w próżni i trudno je rozpatrywać w oderwaniu od ewolucji i stosunków w kraju oraz przemian w obrębie obozu rządzącego. W obliczu zaostrzających się antagonizmów politycznych i społecznych, związanych z kryzysowym załamaniem, a pogłębianych przez zaostrzający się kurs polityczny, poleganie na popularności lidera było coraz bardziej ryzykowne.

W obrębie środowisk prawicowych – przede wszystkim Narodowej Demokracji – rosnącym zainteresowaniem cieszył się inny pomysł, zasadniczo zaczerpnięty z arsenału konserwatystów, ale przetworzony, stosownie do ducha nowych czasów. Chodzi o ograniczenie kręgu uprawnionych do głosowania. Pomysł o tyle nie był nowy, że w XIX stuleciu prawo wyborcze nie było powszechne, ale rozciągało się jedynie na grupy obywateli uważane przez prawodawcę za wystarczająco dojrzałe do wpływania na losy państwa. Praktyczne rozwiązania były różne, wprowadzano cenzus majątkowy, wykształcenia, tzw. domicylu (stałego zamieszkania), w końcu zaś wieku głosujących. W obowiązującym prawie wyborczym zachował się jedynie ten ostatni. Inaczej niż konserwatyści, którzy – obrazowo się wyrażając – pragnęli po prostu cofnąć wskazówki zegara, endecy zastanawiali się nad nowymi rozwiązaniami. Niektóre, chociaż trąące ekstrawagancją, z trudem mieściłyby się jeszcze w kanonie liberalnego państwa – można tutaj na przykład przywołać pomysł Romana Dmowskiego z końca lat 20., aby głosowali jedynie ojcowie rodzin (w przypadku kobiety samotnie wychowującej dziecko takim „ojcem” byłaby oczywiście ona).

Inne pomysły, forsowane przez młodzież, zdradzały już ducha nowej, wrogiej liberalizmowi epoki. Dotyczyło to przede wszystkim rozwiązania ważnego dla nacjonalistów dylematu, jak pogodzić suwerenność narodu z ograniczeniem prawa wyborczego – uszczuplającego tę suwerenność w takim zakresie, jak daleko szły restrykcje. A chodziło o to, by jej jednak nie uszczuplić. Zasadniczo wszyscy (dotyczyło to w równej mierze młodzieży, jak i polityków starszego pokolenia) zgodni byli co do tego, że świadomość narodowa nie rozkłada się równo, że są – także wśród etnicznych Polaków, nie mówiąc o mniejszościach – osobnicy zupełnie jej pozbawieni, a także że idealny system polityczny powinien ograniczać krąg uprawnionych do decydowania o losach państwa jedynie do owych rzeczywistych obywateli. Problem polegał tylko na tym, jak określić granice tej grupy, przebiegające przecież niezależnie od podziałów społecznych, bardziej uzależnione od poziomu wykształcenia, ale też nie w sposób ścisły. O ile jednak starsi politycy – w tym Dmowski – otwarcie przyznawali się do pewnej bezradności w tym względzie, to młodzież skłaniała się do poglądu, że znalezienie rozwiązania jest możliwe i bliskie. Widząc, że stabilizacja stosunków w takich krajach, jak Włochy Mussoliniego, a potem hitlerowskie Niemcy opiera się na masowej partii politycznej, w większym lub mniejszym stopniu przyjmowali sugestię, że poprzez swoją masowość skupia ona wszystkich czynnych obywateli. Działając w obrębie silnego liczebnie środowiska, jakim był Obóz Wielkiej Polski, poddawali się innej, kuszącej sugestii – że to oni sami stanowią narodową elitę, uprawnioną do rządów. Nie tylko zapatrzenie się w totalitarne wzorce zagraniczne, ale i obserwacja rodzimego życia politycznego prowadziła do podobnych wniosków: wszak grupa rządząca, podkreślając swoje zasługi dla odzyskania przez Polskę niepodległości, nie kryła, że uważa się za taką właśnie

elitę. Zainteresowanie koncepcją „elity narodowej” w jakiejś mierze wynikało po prostu z pragnienia zamienienia się rolami – i to był powód, dla którego koncepcja ta była krytykowana i przez polityków starszego pokolenia, zarzucających jej zapatrzenie się w „sanacyjne” wzory (o ile nie amoralność), i przez grupy najbardziej ekstremistyczne, dla których z kolei nie była dość radykalna.

Obserwując funkcjonowanie dyktatury Piłsudskiego, potem zaś jego następców, dostrzegano słabość systemu biurokratycznego, marnującego energię na zwalczanie sprzeciwu, którego nie potrafił okiełznać. Fascynację budziły natomiast państwa, które poradziły sobie z tym problemem – już nawet nie Włochy, ale Niemcy, a nawet ZSRR. Państwa te zerwały z liberalizmem nie tylko w sferze politycznej, ale także gospodarczej, całe życie społeczne włączając w struktury rozbudowywanego coraz bardziej aparatu państwowego. Dla większej części środowiska, także jego młodzieży, była to perspektywa odrażająca, ale bynajmniej nie dla wszystkich działaczy – na przykład nie dla Ruchu Narodowo-Radykalnego „Falangi”, którego struktura organizacyjna powieliała nawiązujący do wzorców faszystowskich model partii wodzowskiej, program zaś nawoływał do rozszerzenia zainteresowania państwa na całą sferę gospodarczą – czego logicznym rozwinięciem była wizja nacjonalizacji i wywłaszczeń.

Nie może dziwić, że tym silniej zainteresowanie eksperymentem radzieckim zaznaczyło się na lewicy, gdzie perspektywa gospodarki kontrolowanej przez państwo nigdy nie budziła tak zasadniczych oporów. Doświadczenie kryzysu lat 30., a także nieznamość rzeczywistych realiów „państwa proletariatu” odgradzonego „żelazną barierą” sprzyjały braniu za rzeczywistość doniesień o jego sukcesach gospodarczych. Fascynacje tego rodzaju zaznaczyły się silnie w obrębie części

środków młodzieżowych obozu rządzącego, który pochłonięty walką z opozycją, tolerował – do czasu – powiększający się zamęt w głowach młodych ludzi. Podobny zamęt w szeregach partii socjalistycznej zaowocował niebezpiecznym fermentem wewnętrznym, którego przewyciężanie trwało kilka lat. Chodziło tutaj nie tyle o pochwały eksperymentu radzieckiego, ile o próbę zmiany linii politycznej środowiska, poprzez zerwanie z dotychczasowymi sojusznikami w centrum życia politycznego (głównie ruchu ludowego, oskarżanego o „faszyzm agrarny”) i nawiązanie kontaktu z komunistami, jako siłą dążącą i do przebudowy społecznej, i – rzekomo – do demokratyzacji ustroju. Wiązanie się z partią komunistyczną, nie tylko nielegalną, ale i kierowaną zza granicy oraz nieuznającą istniejącego państwa (w jego kształcie terytorialnym, nie tylko ustrojowym), było aktem ekstremizmu – widomym znakiem politycznej demoralizacji części lewicy.

W tym miejscu ekstremizmy na prawicy i lewicy spotykały się, choć dzieliła je przepaść odmiennych systemów wartości. Mimo że zaciekle się zwalczały, były podobne w tym sensie, że wobec zastanego porządku prezentowały podobnie burzycielską (a może rewolucyjną) postawę; nadto – jak często bywa – ekstremizmy starały się budować swoją siłę na zwalczaniu drugiej strony. Formułowanym przez komunistów i lewicę socjalistyczną wezwaniom do tworzenia jednolitego frontu i rozprawy z rodzimym „faszyzmem” odpowiadały nawoływania do przeciwstawienia się poczynaniom „fołksfrontu” (inaczej „żydokomuny”). „Frontowa” retoryka w nie mniejszym stopniu niż enuncjacje ustrojowe ilustrowała pogłębiającą się atrofie liberalnej kultury.

Za kwestię sporną uznać można, w jaki sposób w naszkicowany tu, mało budujący, obraz wpisywały się postanowienia nowej ustawy zasadniczej, zatwierdzonej w 1935 r. Część literatury historycznej akcentuje pozytywne znaczenie pomi-

nięcia w niej pojęcia narodu, co różniło jej postanowienia od analogicznych aktów prawnych przyjmowanych w innych krajach rządzonych przez dyktatury. Wszakże do pojęcia narodu odwołują się i liberalne konstytucje: naród jest w nich bytem politycznym, z jednej strony uzasadniającym suwerenność państwa, z drugiej zaś gwarantującym, że państwo to nie będzie dla zamieszkującej je ludności narzędziem opresji i ucisku, lecz przeciwnie – instytucją pomocną w realizowaniu ich potrzeb, gwarantującą bezpieczeństwo i opiekę. W tym względzie brak odniesień do pojęcia narodu miał raczej wymowę anty-liberalną niż antynacjonalistyczną. Odnosi się to rzecz jasna także do tych postanowień konstytucji, które akcentowały prymat władzy wykonawczej nad innymi organami władzy państwowej, w tym rolę nieodpowiedzialnej prawnie głowy państwa, a także artykułów normujących prawa obywatelskie. Sygnalizowano już wcześniej zmiany, jakie zaszły w 1935 r. w prawie wyborczym, które zrywając z krytykowaną zasadą proporcjonalności, przy okazji kasowały instytucję stanowiącą fundament demokratycznych standardów w tym zakresie – to jest prawo obywateli (oraz powoływanych przez nich zrzeseń) do swobodnego zgłaszania kandydatur. W narzuconej przez nowe prawo praktyce decydujący głos miała biurokracja państwowa. Trudno to akceptować, chociaż rzecz jasna można się pocieszać, że za wschodnią, a także zachodnią miedzą było o wiele gorzej.

Uchwalenie konstytucji nie zamknęło debaty ustrojowej. Wbrew nadziejom w obozie rządzącym, wyrażanym najpełniej przez Walerego Sławka, nie otworzyła ona ery, w której prawo będzie ściśle przestrzegane. Okazało się to niebawem, kiedy korektę do zasadniczej ustawy wniósł w drodze pisma okólnego (!) urzędujący premier, ustanawiając drugą osobą w państwie osobę odpowiedzialną za siły zbrojne... To, że w nie-

demokratycznych systemach prawo stanowi konstrukcję fasadową, nie może dziwić – znakiem czasu wszakże, a także efektem wytworzonych stosunków było dopasowywanie się do tego stanu rzeczy także stronnictw opozycyjnych. Jeśli bowiem analizować treść różnych komentarzy prasowych, poświęconych sprawom ustrojowym, a równocześnie mieć na uwadze oficjalne dokumenty poszczególnych ugrupowań, precyzujących stanowisko w tych sprawach, to widać pogłębiający się rozdział. Deklaracje nie nadążały za praktyką. Uleganie poszczególnych nurtów politycznych tendencjom antyliberalnym i antyparlamentarnym niemal nie przekładało się na zapisy w programach. Wszystkie wielkie nurty polityczne, formalnie rzecz biorąc, stały bowiem na gruncie demokracji parlamentarnej – niekiedy, jak w wypadku Narodowej Demokracji, dlatego, że stosowny dokument uchwalono jeszcze w latach dwudziestych... Nawyk instrumentalnego traktowania prawa, w tym wypadku wyrażonego w stanowisku zawartym we własnych dokumentach programowych, był złym symptomem, nie dowodzącym wysokiej kultury politycznej i nie wróżącym dobrze perspektywom ewolucji systemu politycznego Polski w jakimś sympatyczniejszym kierunku.

Zarysowany tu pesymistyczny obraz wymaga jednak korekt, bez względu na trudność wyrokowania o możliwych wariantach rozwoju wydarzeń w państwie, którego byt został w dramatycznych okolicznościach przecięty. Być może bowiem diagnoza jest zbyt surowa. Polska nie tkwiła w próżni, a dokonująca się w niej ewolucja stosunków wewnętrznych odzwierciedlała nie tylko wewnętrzną ich logikę, ale i presję otoczenia. Trudno tu abstrahować od sytuacji, że poza Polską triumfowały – odwołując się do Reaganowskiej stylistyki – „siły zła”.

Zasadniczy charakter ma pytanie o główne przyczyny załamania się polskiego modelu demokracji liberalnej. Inaczej niż wcześniej w Rosji, przewrotu majowego nie poprzedziła atrofia

struktur państwowych, nie było też tak, jak później w Niemczech, że upadek demokracji poprzedzony został stopniowym narastaniem w kraju sił konsekwentnie kwestionujących podstawowe jej zasady. System upadł, ponieważ... rywalizacja sił politycznych wymknęła się poza ramy bezpieczne dla systemu jako całości i doprowadziła do wytworzenia się sytuacji, której chyba nikt nie chciał, ale której nie można było odwrócić. Użycie siły określiło logikę dalszych wydarzeń, w tym i kierunek ewolucji poglądów i postaw orientującego się na Piłsudskiego środowiska, na swój sposób szczerze przywiązanego do ideałów demokratycznych i z oporami przyjmującego do wiadomości, że sprawowanie władzy wymaga zdystansowania się od idealistycznych wizji.

Odnotujmy też, że zaznaczały się także symptomy świadczące o trwałej atrakcyjności idei wolnościowych. Nawet w warunkach paniki spowodowanej katastrofą gospodarczą początku lat 30., wraz z towarzyszącym jej zaognieniem się antagonizmów narodowościowych i społecznych, zaostrenie się kursu politycznego dokonywało się relatywnie wolno, napotykając silny opór – w miarę upływu czasu raczej nasilający się niż słabnący. Niewątpliwie oprócz innych czynników oddziaływały w Polsce także szeroko rozpowszechnione nawyki sprzeciwiania się władzy. Warto także podkreślić żywotność dawnego świata wartości, w jakimś stopniu personifikowanego przez wpływy Kościoła – siły konserwatywnej wprawdzie, ale w realiach lat 30. przez to właśnie zdecydowanie antytotalitarnej. Swoją żywotność zachowywał mit Zachodu, w Polsce powiązany z przywiązaniem do etosu wolnościowego.

Wyrażając się obrazowo, można powiedzieć, że narastanie u nas skrajności (i przyzwolenia na nią) – inaczej niż w krajach totalitarnych – nie miało charakteru swego rodzaju kataklizmu, pustoszącego polityczną scenę. Można je raczej porównać do choroby, rozwijającej się stopniowo, ale z wyraźnym trudem;

okresowo zaś hamowanej przez siły odporne organizmu. Wydaje się, że wynik tej choroby nie był przesądzony. Po śmierci Piłsudskiego ostry kurs dość szybko się załamał i nawet postacie kojarzone z rządami silnej ręki próbowały szukać jakiejś formy współpracy ze społeczeństwem. To prawda, szło to opornie i trudno powiedzieć, jaką formę przybrałoby w przyszłości. O tej już jednak zdecydowali nasi sąsiedzi.